Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro; tel. 215-11 Godziny przyjęć codziennie od 4—7 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5; tel. 25-5

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok III. Warszawa. 24 Listopada 1923 r. Nr. 47.



Cena numeru 30.000 mk.

CHEMJA SPRAWY ŻYDOWSKIEJ.

Każdego musiało to zastanowić, że wielkość niebezpieczeństwa żydowskiego w danym kraju nie pozostaje w bezpośredniej zależności od liczby osiadłych w nim żydów. Tak naprzykład, jakkolwiek groźna jest w Polsce sprawa żydowska przy jedenastu procentach tych miłych „obywatelów", to jednak nie jest ona jedenaście razy większa, niż w Niemczech przy jednym procencie żydowstwa. Nikłe ułamki procentowe żydów we Francji i w Ameryce zaważyły więcej i na krajach tych i na polityce międzynarodowej, niżeli wielomiljonowe mnóstwa żydów Polskę zamieszkujących. Przykład obalonej przez to robactwo Rosji jest jeszcze jaskrawszy. Wobec tych faktów nie od rzeczy będzie wyodrębnić zjawisko to w rozważaniach sprawy żydowskiej i kilka mu osobnych uwag poświęcić.

Kulturalne, gospodarcze i polityczne różnice środowisk tylko do pewnego stopnia tłomaczą niewspółmierność liczby żydów z wielkością ich niebezpieczeństwa. Główną przyczynę zjawiska znajdziemy dopiero w gatunkowej różnicy działania, które żydzi w różnych krajach zastosować zdołali. Biorąc porównanie ze zjawisk świata fizycznego, możemy w działaniu żydowstwa na różne narody wyodrębnić dwa główne sposoby i nazwać je: jeden mechanicznym, a drugi—chemicznym.

Porównanie to odrazu wprowadza nas w sam środek zagadnienia. Działanie mechaniczne przy użyciu wielkiej stosunkowo liczby, ciężaru i siły daje w wyniku tylko materjalne opanowanie najechanego narodu: żydzi fizycznie zajmują pewną ilość miejsca, odbierając je gospodarzom kraju, opanowują handel, przemysł i trochę rzemiosł, zdobywają stan posiadania, ubożą i wyzyskują ludność. Ta forma najazdu, jakkolwiek nie wolno nam jej lekceważyć, pośrednio tylko działa ujemnie na rasę, duszę i kulturę zagrożonego narodu, a w skutkach swych ciężka, powolna i dla ogółu widoczna, nie da się nawet w przybliżeniu porównać z działaniem chemicznem.

Ta druga — chemiczna forma najazdu żydowskiego przy małej, nawet znikomo małej ilości najeźdźców daje szybkie i zabójcze dla gospodarzów kraju wyniki. Polega ona na przenikaniu żydów do wnętrza kultury, ducha i rasy najechanego narodu. Z natury swego działania ta szczególna chemja żydowska wymaga owszem możliwie małej ilości żydów, lecz odpowiednio dobranych i odpowiednio umiejscowionych. Mała ich ilość i rozproszenie tylko w sferze inteligencji usuwa ich z pod obserwacji ogółu społeczeństwa, mogą przeto tem swobodniej działać, ukrywając się zresztą pod maskami przybieranych pseudonimów, imion i nazwisk aryjskich.

Takie postawienie sprawy w zupełności rozstrzyga nam pytanie, dlaczego to jeden procent żydów w sposób tak tragiczny zagroził Rosji i Niemcom, a jedenaście ich procent nie może Polsce podołać. U nas, na szczęście, tak się złożyło, że żydzi jeszcze chemji swej użyć nie zdążyli (choć się to już zaczyna). Działanie ich w Polsce było dotychczas głównie mechaniczne. To też zrujnowali nasz stan posiadania materjalnego, ale duszy narodu jeszcze niemal nie tknęli. Zaś w Niemczech — odwrotnie — materjalne zdobycze żydów są stosunkowo małe, a duchowe — ogromne. Prasa, nauka, sztuka, wysokie stanowiska społeczne, państwowe i finansowe — oto nerwy i zwoje mózgowe społecznego organizmu niemieckiego opanowane przez żydów.

Można tu jako przestrogę, dzisiaj już niejednym faktem narodowym stwierdzoną, przytoczyć następujące słow z Króla-Ducha Słowackiego:

„Przyszły do mnie duchy
W ogniu i rzekły: Czas twej męki mija,
Oto lud poznał: nad miecz i łańcuchy
Straszniejszy, który na duchu zabija".

Sposoby zabijania na duchu stosowane przez Rosjan,

a nawet Niemców są błahe w porównaniu z tymi, które w tyglu swego Talmudu od wieków spreparował Juda. Niemcy i Rosjanie w całej ohydzie swoich metod zaborczych byli jeszcze dziecinnie uczciwi i czyści w porównaniu z żydami. Dopiero naród „naród wybrany" wzniósł się na niedościgłe szczyty łajdactwa duchowego, szubrastwa moralnego, szalbierstwa naukowego i świństwa artystycznego. Biada narodowi, którego inteligencja truciźnie żydowskiej uległa!

Polskę żydzi opanowali materjalnie (handel, przemysł, finanse) i obsiedli ją fizycznie (większość miast z większością żydowską). Ale że przed wojną mało liczyli się z Polską nieistniejącą politycznie, więc zaniedbali u nas działania chemicznego, łącząc się duchowo z wrogami naszymi—z Rosją i Niemcami. Obecnie, gdy Polska nagle jako potęga polityczna z martwych powstała, działanie mechaniczne stało się niedostateczne, więc żydzi z całą energją rzucili się do swojej chemji wypróbowanej: zaczęła się gwałtowna ofenzywa na inteligencję polską. Żydzi napychają sobą szkoły polskie, zawody wolne, w szczególności adwokaturę, opanowują stanowiska w sądownictwie i administracji, w prasie, w nauce, sztuce, w życiu towarzyskiem i t. p. i wszędzie chcą uchodzić za Polaków.

Nie ulega wątpliwości, że działania mechaniczne t.j. obecność takiego mnóstwa żydów w Polsce przeszkadza ich działaniu chemicznemu, bo utrudnia udawanie i maskowanie się jednostek. Z powodu tego mnóstwa społeczeństwo polskie widzi i zna żydów, łatwo się na ich robocie i cechach rasowych orjentuje, dotykalnie odczuwa niebezpieczeństwo żydowskie, a przez to łatwiej żydów na ich chemji przyłapuje. Ale z drugiej strony pięciomiljonowe skupienie żydowstwa stanowi olbrzymi zbiornik siły żywej, z której chemja żydowska może czerpać bezpośrednio i w ogromnych ilościach jadowite dla nas związki produkować. Zbiornik ten — to rodzaj żywego katalizatora o stałej temperaturze i stałem ciśnieniu, wygodnie w organiźmie naszym schowanego i konstytucją polską ochranianego.

Z powyższego wynika, że obronna wojna Polski przeciw żydowstwu z natury rzeczy w taktyce swej rozkłada się na dwa wielkie działy — mechaniczny (materjalny) i chemiczny (duchowy). Gdy bronimy się w jednej dziedzinie, mając na celu zdobycie tego stanu posiadania materjalnego, fizycznego, to z niemniejszą pilnością i energją musimy zdobywać swój stan posiadania duchowego. Tu tkwi węzeł bijologiczny słynnego *numerus clausus*, który jest jeszcze wojną połowiczną. Przy całkowitem uświadomieniu narodu hasłem naszem musi stać się *numerus nullus* — i to nietylko w dziedzinie szkolnictwa, ale na wszystkich polach życia bez wyjątku.

Najprostszą i zarazem najłagodniejszą drogą działanie przeciw chemji żydowskiej jest zupełna izolacja życia polskiego i żydowskiego. Zasadą wszystkich towarzystw i instytucji polskich—artystycznych, naukowych, zawodowych, państwowych, społecznych, gospodarczych powinno być usunięcie

z nich żydów co do jednego. Żydzi mając możność i wolność tworzenia własnych w Polsce towarzystw i instytucji (prócz państwowych,) więc wojna ta z naszej strony nie posiada żadnych cech napastniczych i zaborczych. Jest ściśle obronna dotyczy tylko czystości życia polskiego.

Zupełna izolacja kulturalna, duchowa i towarzyska stworzy normalne warunki wytwarzania się inteligencji polskiej i w znacznym stopniu ułatwi nam wojnę z zaborem żydowskim w dziedzinie materjalnej. Inteligencja nasza i młodzież szkolna może rozpocząć dzieło izolacji aktem tak prostym, jak zupełne zerwanie stosunków towarzyskich z żydami. Poprostu — nie znać żydów, nie mówić z nimi, nie witać się, nie widzieć ich. Tym sposobem wytworzymy dokoła żydów rodzaj próżni, która własną siłą swoją wydzieli żydów z orgaganizmu polskiego. Tym sposobem uniemożliwimy działanie chemji żydowskiej, a błogosławione skutki tej prostej i łagodnej akcji już po kilku latach objawią się zdrowiem i pełnią oryginalnego życia polskiego. *St. Pieńkowski.*

„NEOFITYZM NARODOWY".

W jednym z bardzo „czerwonych" organów socjalistycznej lewicy nazwano piszącego te słowa, niedawno, „neofitą endeckim", z racji pewnego artykułu pomieszczonego w prasie narodowej.

„Neofitą narodowym" mnie nazwano. A więc tak, stwierdzono tylko, że wreszcie dobrowolnie odwróciłem się po dłuższem namyśle od polityki obozu, który pod hasłem demokracji, liberalizmu i postępu, reprezentuje tylko klasowe, skrajne, na międzynarodowych konszachtach oparte interesy jednej grupy pracującego społeczeństwa.

Że przyjąłem chrzest nowego poglądu na zagadnienia narodowe, na najdonioślejsze problemy państwowe, a ujrzawszy po stronie lewicy próchno przebrzmiałych haseł i niemoc twórczego czynu przy chorobliwej żądzy władzy i dzierżenia samowładnego rządów w narodzie, za wszelką cenę i po linji wszelkich możliwych środków, począłem stawać się „neofitą" przekonań biegunowo innych, szczerze narodowych, prawdziwie, ponad wszelką dziś wątpliwość, narodowych.

Nie mam wcale zamiaru pisać tu, spowiedzi z ewolucji mych poglądów politycznych. Chcę tylko poddać analizie ten przypadkowo rzucony mi w formie rzekomej obelgi termin „neofityzmu". Jest tu bowiem niewątpliwie zagadnienie, które warto i należy oświetlić na tle dzisiejszych poglądów politycznych naszego odrodzonego życia państwowego i powstających na tej platformie orjentacji politycznych.

Niegdyś w okresie niewoli, sporo gorącej patrjotycznie młodzieży, sporo najlepiej narodowo uświadomionych ludzi, garnęło się pod szandar czerwonej idei socjalistycznej, i skoalizowanych z nią ugrupowań postępowo-radykalnych, z tych jedynie podniet, iż w podziemnej, konspiracyjnej pracy tego

obozu, wysuwającego hasło nawiązane w tradycji polskiej polityki emigracyjnej o programie powstańczych walk o niepodległość Polski, znajdowało ujście dla swej energji czynu narodowego i pracy zbiorowej nad rozkuciem niewolnej ojczyzny.

Był to prąd ogniskujący patrjotów w szeregi radykalnych grup społeczeństwa, przeciwstawiających się polityce trójzaborowej ugodowości, lojalności, przesypiania na laurach spokojnej inercji politycznej, u stóp tronów zaborczych monarchów.

Wielka wojna, legjony, organizacje peowiackie, tajny łańcuch dawnych bojowców lewicowo-socjalistycznych, którzy może nieraz i oddali sprawie wolnościowej pewne usługi, dziś należy już do zamarłej przeszłości. Obóz socjalistyczno-lewicowy dyskontuje jednak jeszcze wciąż swą przebrzmiałą tradycję i usiłuje na własnym organizmie państwowym — dziś wznawiać swe dawne metody polityczne.

I. tu leży punkt wyjścia dla tego fałszu wewnętnego, co tkwi w korzeniach konspiracyjnej pracy dawnych „towarzyszy" pepesowskich, którymi kierują wciąż ci sami, dawni, przedwojennej szkoły leaderzy. Za słabi, by przekuć zardzewiałą blachę idei i haseł polskiego socjalizmu na nową treść i godła przystosowane do polskiej, własnej państwowości, błąkają się po ugorach swej dawnej ideologji, organizując kadry swych sympatyków do walki z własnem państwem, z własnym narodem i rządem.

I tu rozchodzą się już drogi szczerego, niezabarwionego fanatyzmem partyjnictwa, patrjotyzmu narodowego i instynktu narodowego, a dawnych haseł lewicowego radykalizmu, i demokratycznego rzekomo postępu. W radykalnej i tajnej robocie konspiracyjnej przelicytowali socjalistów, jeśli chodzi o program klasowy, komuniści. W pracy narodowej, twórczej państwowo-konstrukcyjnej, zastąpiły obóz lewicowy, sfery nawskroś narodowe, grupujące wokół siebie olbrzymią większość realnie, nowoczesnymi kategorjami państwowymi operującego, uświadomionego społeczeństwa.

Zatem apostazja z pod sztandaru czerwonej międzynarodówki musi stać się, i staje się, rzecz to stwierdzona choćby w ostatnich listopadowych wyborach 1922 r. rzeczą nagminną, masową. „Neofitów" narodowych będzie stale coraz więcej! Szeregi lewicy, muszą stopnieć do kadr zwolenników li tylko ściśle określonych w cyfrze klasowej walki o poprawę bytu proletarjalu pracującego fizycznie, o ile im obce i wstrętne są krańcowe hasła komunistycznej rewolucji.

Ten tok powolnego słabnięcia wpływów lewicowych i t. zw. żywiołów postępowych, jest rzeczą zupełnie naturalną, i ściśle związaną z koniecznością historyczną tworzenia się obozów politycznych o programie ściśle państwowym, nie zaś jedynie klasowym, reprezentującym wyłącznie interesa pewnej procentowo drobnej warstwy społeczeństwa.

I tu otwiera się droga do przejścia pod sztandary narodowe dla tych wszystkich przyszłych „neofitów" narodowych,

których dalsze solidaryzowanie się czynne z bojową polityką socjalistów i żydowsko-masońskich postępowców i liberałów, jest nie do pomyślenia.

Człowiek operujący kategorjami politycznego myślenia, a przytem wiedziony zdrowem uczuciem narodowem i instynktem państwowym, musi zadać sobie dziś pytanie: co mnie może łączyć jako patrjotę i obywatela z dzisiejszym obozem t. zw. opozycji przeciw rządom narodowym?

Opozycja ta składa się ze socjalistów, komunizujących, radykałów chłopskich Thugutta, „Wyzwolenia", zdezorjentowanych politycznie enperowców, idących ze względów tylko ciężkich warunków ekonomicznych w ogonku socjalistycznego porządku i śmiesznej trochę grupki Don-ki-chotów chłopskich Dąbskiego. Poza tymi grupami stoją dopiero „cisi" sojusznicy lewicy: żydzi, niemcy, ukraińcy, cały blok „mniejszości".

Czy ten zespół grup parlamentarnych, pozostających zresztą w mniejszości w Sejmie, może swym programem pociągnąć obywatela-patrjotę, niezaślepionego w fanatyzmie partji, ani nie liczącego ambitnie na karjerę u boku bojowej falangi lewicy?

Cóż może bowiem łączyć człowieka politycznie uświadomionego z polityką klasową socjalistów czy Nar. Partji Robotniczej, chłopskiej megalomanji agrarnej „Wyzwoleńców", lub fantastów ludowcowych grupki Dąbskiego i Jampolskiego? Tu tkwi punkt wyjścia masowej secesji sympatyków dawnych prądów niepodległościowego obozu, i garnięcia się pod sztandary narodowe.

„Neofityzm narodowy" być musi, jako naturalna reakcja na politykę socjalistycznej lewicy, bezprogramowej, narodowo zdezorjentowanej, a w zapędzie partyjnego fanatyzmu w całem tego słowa znaczeniu antypaństwowej, szkodliwej w wielkiej mierze dla polskiej racji stanu. Kto zatem jako prawy polak i obywatel ma sumienie polityczne nie skażone miazmatami prądów międzynarodówki socjalistycznej, musi mieć odwagę z otwartą przyłbicą wystąpić do walki z sugestją działającą nań nieraz latami ze strony obozu, w którym działał dotychczas: a wtedy odrodzi się nowe źródło wiary politycznej, narodowej orjentacji, mamy nowe szeregi „neofitów narodowych".

I tak być musi. Są to bowiem konsekwencje trzeźwienia się ludzi z pod majaków niezdrowej przeszłości, by iść samodzielnie ku jednemu celowi, ku zdrowej polityce narodowej.

Dr. Adam Brzeg.

HISTORJOZOFIA P. ARTURA ŚLIWIŃSKIEGO.

W „Robotniku" z Czech pisuje od czasu do czasu Adam Wełtawski: nazwisko zaimprozowane i wzięte od Wełtawy, ergo ewentualnie żyd. Mniejsza z tem. W numerze z 1 Listo-

pada o dzisiejszym stanie finansowym Czech czytaliśmy tego Wełtawskiego takie uwagi:

„W obecnej sesji sejmowej, rozpoczętej dziś, będzie się odradowało nad temi sprawami. Sejm otrzymuje budżet zmniejszony o 4 i pół miljarda koron czeskich w stosunku do roku ubiegłego. Budżet bowiem na rok 1924 przewiduje 17 miljardów w wydatkach, zaś 16 i pół miljarda dochodów. Deficyt jest o 2 miljardy mniejszy, aniżeli w roku ubiegłym. Rząd, po długich walkach wewnętrznych uporał się z trudnościami, *obciął nawet wydatki na wojsko, które w r. 1919 wynosiły 21%, obecnie zaś wynoszą 12%*".

Jest to nieścisłe. Wydatki na armję obliczono w Czechosłowacji o 17%. Przydać tu trzeba, że w Czechach budżet wojskowy (367 m. fran. szwaj., w stosunku do wszystkich wydatków wynosi 14%, podczas gdy u nas nadal 45%.

Pomimo tego „Kurjer Poranny" i „Przegląd wieczorny" t. j. organy powojennego suwerena - sutenera prasowego Feta Fryzego prowadzi nadal całą kampanję przeciw tym oszczędnościom i redukcjom i ostatnio wciągnęły do pisania posła Anusza i historyka p. Śliwińskiego Artura.

Pierwszy zabrał głos w tej sprawie prościnkowato ale uczciwie. Nienawidzi Rosji, zna ją osobiście, ex autopsia, boi jej się, więc chce z nią w razie czego walczyć 3-ma miljonami bagnetów stale pod bronią stojącymi.

Nie byłby biedaczyna (od wczoraj rozczytany miłośnie w dziejach Polski) od tego, żeby tak marszałek w Sulejówku zdjął już szlafrok, i szlaf - myckę, wdział zbroicę, przypasał pałasza, zagwizdał na dłubinosków i pesiusiaków i pomaszerował znów choćby piechtą na Kijów, przetrzepał Moskalom skóry a Budiennego wziął do niewoli, przytroczył do bachmata z tryumfem do Warszawy przywiódł.

To też, gdy się czyta p. Anusza raduje się dusza. Samouczyna co wiedział to powiedział. Z serca, z duszy, prosto, szczerze. Gdyby się był więcej coś kształcił powiedziałby lepiej. To nie irytuje. To folklor...

Ale weźcie i przymuście się do czytania tego co pisze dawny kandydat Piłsudskiego na lejb-premjera, ten p. Artur Śliwiński.

Cóż za podświadoma, wewnętrzna, tajona, duszona wielgomanja bije z tych wypocin uczonego samouka, historyka „z domowem wykształceniem" dla dorastającej młodzieży! Jakim uroczystym, podniosłym, kazalniczym, nastroszonym stylem przemawia historjografja tego nieuleczalnego czwartoklasisty i wieczystego sztubaka. Z jakim aplombem i dostojnością przemawia do narodu ten naiwny i tępiutki panienkokrata, z jaką wiarą i pewnością siebie powtarza najpłytsze, najbanalniejsze, podręcznikowe truizmy. I jak się tu potem dziwić temu wybiciu się Askenazego na czoło historyków polskich i oddanie mu buławy hetmańskiej, jeżeli w opinji ogółu demokratycznego może uchodzić wogóle nadal za uczo-

nego serjo, za historyka, za badacza, za poważnego monografistę tak chłopięcy, naiwniuteńki i bezbronny w swej bezsile i anemji intelekt jak tego biduli p. Sliwińskiego! Przecież w jednym szkicu Simonidesa Askenaza od ręki rzuconym jest więcej wiedzy, metody, precyzji, głębi, kultury, finezji, Europy, Zachodu, jak w całej dotychczasowej skrobaninie tego szpakowatego już chłoptasa, który mógł mieć rok temu przez sekundę czelność i cynizm ochotnego objęcia prezesury gabinetu w europejskiem państwie omal 30 miljonowem mając kwalifikację ledwie na belfra od literatury polskiej, w drugorzędnem pensjonacie!

Ten obstalowany przez ober-paskarza, paszę Fryzego pan Arturek Sliwiński coś tam gaduli i gaduli o swoim Naczelniku, o Komitecie Narodowym o hetmanach, spiskach, zamachach, zdradach, Lubeckim, różne różności, co tam gdzie nasłuchał się, naczytał, a wszystko beznadziejnie płytkie, durniutkie, panieńskie i bezbronne. Z takiego dopiero wypracowania wieczystego studenta widać jak prosto świat się odbija w łepetynie naszych prymitywów i profanum vulgus półinteligencji. Takie chłopiątko ma wszystko ułatwione w swem poglądzie na świat: tu czarne, tam białe. I kontent sobie matołeczek i zadowolony, że tak ma Polskę i Polaków rozdzielonych jak na sądzie ostatecznym: Tu Aryman tam Ormuzd, tu konfederaci barscy tam targowiczanie, tu Mochnacki i Lelewel a tam W. Krasiński i Wielopolski.

Redukcja budżetu na armję była w r. 1794 zrobioną; teraz jest też redukcja; ergo ci co redukują to jurgeltnicy Carowej, następcy Kossakowskich, Targowica.

I czy są argumenty, którymi możnaby przemówić do niedorozwiniętego mózgu, takiego imbecila, dziedzicznie tępego Lechity, „z gustem do ukwaszonych ogórkow“, do takiego samoukształconego gryzmoły, który pod kątem dziewczęcia z dworku z „Wieczorów pod Lipą“ będzie zawsze patrzył na dziesięć wieków dziejowych wielkiej, potężnej, psychicznie tak skomplikowanej i tajemniczo głębokiej, skroś tragicznej rasy?

Jak takiemu pisarzowi.. prowentowemu, który oprócz Polski i „Moskalów“ nic na globie dotychczas nie dostrzegł, który z olbrzymiego mechanizmu politycznego planety, zna tylko dwa kółeczka: „konfederatów“ i „kozaków“, „legunów“ i „endeków", wytłomaczyć, że np. margrabia Wielopolski z r. 1862, choć przegrał i choć jest dziś tym, o którym się nie mówi, to jednak będzie i pozostanie polskim, skroś polskim patrjotą najczystszej rasy i najwyższej klasy, i jednym z trzech, czterech największych polskich mężów stanu, choć w stolicy „palił cygara“, a generał Mierosławski, choć powstaniec i w swym „stylu“ prekursor Piłsudskiego, to warchoł, szkodnik i ladaco? Tego w popularnych pamiętnikach, w podręcznikach niema! Tego ani p. Anusz, ani p. Sliwiński, ani p. Hołówko w książkach, w biblioteczce przystępnej jeszcze nie wyczytali.

No i z tem byłoby tym mózgom rozpaczliwie prymityw-

nym, w pewnem stadjum rozwoju zastygłym, tym intelektualistom, w pierwszem pokoleniu dopiero w inteligencję weszłym, przedewszystkiem... niewygodnie.

A pan Arturek nie lubi niewygody.

Jako wiceprezydent miasta, oduczył się chodzić radykalną piechotą i nie złaził ze swego lewiatanowego powozika, magistrackiego.

I nie lubi oszczędności.

I pisze znów patetyczny bubuś, polityczny dobosz pesiusiaków i dłubinosków:

„Tego obrazu nie przesłoni wymalowana jaskrawemi barwami kotara oszczędności, a głosu rzeczywistości nie zagłuszą okrzyki, że kraj uratuje się redukcją wydatków!

I wyciąga sobie z biblioteczki szpakowaty chłoptas tomik o „Lubeckim". I pisze:

„Finansiści petersburscy odrazu znaleźli sposób na uratowanie budżetu"; tym sposobem była redukcja urzędników, a przedewszystkiem redukcja wydatków na wojsko. *Ale moskiewskiemu systemowi perfidnej oszczędności*, przeciwstawił nowy minister skarbu swój system, którego podstawą było nie redukowanie wydatków lecz podniesienie dochodu"... „Nie znał strachu przed utratą popularności, potrafił z całą energją oprzeć się *obmyślanym w Petersburgu*, samobójczym dla narodu *projektom sanacji* i z całą konsekwencją postępować w myśl uwzględnienia potrzeb, które uważał za najważniejsze dla kraju" [1]).

Słyszycie Pesiusiaki! i Peowiany?

Moskiewski system perfidnej oszczędności!...

Obmyślane w Petersburgu samobójcze dla narodu projekty sanacji"...

Sapientibus sat. Ci co są za sanacją skarbu przedewszystkiem i za systemem oszczędności to Petersburszczany! Moskwiczanie! Targowica.

Ci, co przeciw „moskiewskiemu systemowi perfidnej oszczędności" to konfederaci Barscy, to spadkobiercy ludzi z 31 i 63, to duchy Ormuzda.

To jasne! Że „perfidnej oszczędności moskiewski system" uprawiają dziś wszystkie państwa europejskie, o tem pepesiu-

---

[1]). Patrz Smolki o Lubeckim:

„Wglądając ściśle w preliminarze wszystkich wydziałów administracji, zniżał albo kreślił nielitościwie wszelkie niepotrzebne wydatki, dodatkowe wynagrodzenia za rozmaite czynności... Przyjaciół nie mógł sobie przysporzyć minister skarbu skasowaniem „niepotrzebnych" urzędów; to wiedział dobrze z doświadczenia. Na całej linji, od Belwederu i Frascati począwszy, aż do przedstawicieli najostrzejszego tonu opozycji sejmowej, wszędzie z przyjaznym dla siebie gruntem spotykało się niezadowolenie osób, dotkniętych takiemi oszczędnościami, wprost lub pośrednio, odzywając się wszędzie wrogiem dla Lubeckiego echem. On tem się nie odstraszał, choć w owych czasach różne widoki stałego a wydatnego podwyższenia skarbowych dochodów mogłyby były niejednego na jego miejscu, powstrzymać od oszczędności tego rodzaju, utrudniających i bez tego niełatwą pozycję ministra skarbu".

siak historyk ani nie wie ani nie chce wiedzieć. Toby sztubakowi historjozoficznemu psuło „koncepcję dziejów Polski" z „Wieczorów pod Lipą".

Oszczędności zaś ten idealista „cierpit nie mogu".

Przy „moskiewskim systemie perfidnej oszczędności" pan Artur Śliwiński musi znów łazić po Warszawie piechotą.

A gdyby tak upadł rząd, projektujący sanację skarbu „obmyślaną w Petersburgu" możeby tak wrócił ten pogrobowiec romantyzmu i powiększyciel olbrzymów do swego powoziku wiceprezydenckiego...

A możeby nawet stanąwszy na baczność dostał nasz siusiak historjozoficzny nawet ministerjalne auto... jako autor tylu, tylu madrygałów ku czci Mierosławskiego ze Sulejówka.

Adolf Nowaczyński.

TYLKO KWARATANNA.

W „Głosie Narodu" prof. St. Kutrzeba badacz naszej dziejowości poważny, solidny i pedantyczny, przytem prawnik i znawca ustroju i administracji w dawnej Polsce, zamieścił artykuł pod tyt.: „Refleksje", refleksje, po pierwszej rabacji bolszewickiej w Krakowie, w swojem rodzimem mieście.

W refleksjach tych są myśli piękne i polskie, ale niestety są i echt krakauerskie.

Pięknie i po polsku karci i piętnuje p. Kutrzeba podwawelski „Paradissus Judaszorum" w słowach:

„A nigdzie tak daleko to lekceważenie samych siebie przez władze w Polsce nie wystąpiło, jak w Krakowie. Na wszelkie wybryki patrzeć przez palce, tolerować przeciwprawne postąpienia, zamykać na nie oczy, zatykać uszy — to, niestety, stało się dewizą szeregu tych ludzi, w których ręce oddane były i są w części jeszcze do dziś rządy Krakowa i okolicy. *Strach przed każdym śmielszym krokiem, strach przed odpowiedzialnością—słowem tchórzostwo cywilne.* Byle mieć spokój—bez względu na to, jakie tego będą konsekwencje dla wyrobienia poczucia prawa i ładu w społeczeństwie".

Byle mieć spokój!

Strach przed każdym śmielszym krokiem!

Tchórzostwo cywilne!

Tchórzostwo cywilne, jako wyznanie religijne, ohydne, niskie, płaskie tchórzostwo cywilne.

To tchórzostwo cywilne mieliście podczas wojny wszyscy tam pod Wawelem, wszyscy bez różnicy stronnictw i orjentacji. Gdyby wam Warszawa i Lwów nie masowały pleców, to podczas okupacji i wasza krakowska szczuplutka garstka ententofilów, co moment upadała na duchu i grzęzła w defetyzmie i w prostracji. Gdyśmy tu Warszawie walczyli z prusactwem i z semickim boszofilstwem i z enkaenitami, przywożonymi do nas w... zaplombowanych wagonach, gdyśmy tu walczyli z nimi na śmierć i życie wszelką bronią, na jaką nas stać było, ryzykując wszystko i narażając się, wyście się obu-

rzali na nasz radykalny ton, na naszą prasę podziemną „że sobie za nadto pozwala..“ „że nie można jątrzyć i zadzierać i ryzykować... A nuż? A nuż... A nuż?

I to samo tchórzostwo cywilne zostało w was organiczne, dziedziczne, nieuleczalne!! w tem pokoleniu już nieuleczalne, niepozbędne.

Jesteście zatruci niem, zakażeni wskroś bez różnicy omal stronnictw i orjentacji.

Strach przed odpowiedzialnością.

Strach przed każdym śmielszym krokiem. Słusznie.

Aliści mamy w ręce „Naprzód“ escroquów i sceleratów Feldmana i Haeckera Nr. 262, gdzie znajdujemy powoływanie się i cytatę właśnie z tego artykułu prof. Kutrzeby! Przecieramy oczy i wracamy do „Refleksji“, gdzie istotnie jest też i takie zdanie:

„Niech ta władza namyśli się i dziesięciokrotnie, nim nakaże co lub zakaże, niech nie wydaje rozporządzeń, zwłaszcza zakazów, które nie są usprawiedliwione, które mogą złe skutki za sobą pociągnąć. Tego należy od władzy wymagać--od niej się przecież żąda, by najwyższym rozumem, — rozumem państwowym się kierowała“.

Otóż zdanie to w normalnych warunkach bardzo piękne i polskie, w danym momencie i w tej sytuacji, jaką Kraków aktualnie (t. j. jeszcze 14 listopada) przeżywał jest passons le mot echt krakauerskie.

I Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek. I tu reverance i tamtym padam do nóżek. O „zakazach nieusprawiedliwionych" w tym momencie pisać się nie godziło. Jest to koncesja, ustępstwo na rzecz motłochu morderców, jego hersztów i jego prasy. Co więcej, jest to objaw „zustimmungshunger", braku odwagi cywilnej i strachu przed pełną odpowiedzialnością, tchórzostwa! W takiej sytuacji na „władzę" i na psychiczne wady ogółu, na pospólny wszystkim brak szacunku i posłuchu dla władz winy się nie zwala. To jest zdejmowanie odpowiedzialności ze zbirów z „Naprzodu" i rozkładanie na wszystkich, alias brak cywilnej odwagi i tchórzostwo. Kompromisowość, ugodowość, lizanie każdej potęgi, faryzejstwo i obłuda weszło wam wszystkim w krew, w żyły, w każdą fibrę. Bez różnicy stronnictw i orjentacji. Od Krakowa idzie kult tchórzostwa i panika przed odwagą cywilną jako od całości, jak zaraza. Nie są wolni od tego i antagoniści „Czasu" i antypody „Naprzodu". Nikomu się nie narazić sub hoc signo Spartacus vincit. I dopóty was walczących ze socjal-komunizmem krakowskim będzie cytował „Naprzód" z rewerencją, dopóty i wam ufać nie można.

Pamiętamy tu odezwę Akademji Umiejętności na jubileusz... prof. Bodouin de Courtenaya...

Czytywaliśmy Zdziechowskiego medytacje zawsze uczuciowe i zawsze fałszywe, zatrute pesymizmem i chore, abnegację apostołujące. I Wł. Tetmajera „ludowca" w „Czasie" ekspektoracje patetyczne a teatralne.

Miasto jest chore. Austrji rozkładającej się trup was zakaził doszczętnie, wszczepił wam zarazę. La Citta dolente. Jak Chorwacja zaraża Jugosławię, tak wy zarażacie Polskę! Kraków jest naszym... „Kronstadtem".

Kwarantanny! Kwarantanny dla Krakauerów. Póki czas! Dla wszystkich. Bez wyjątku. (*a. n.*).

„DZIADEK".

Samochód pancerny „Dziadek", który tak wielką rolę odegrał w rabacji bolszewickiej w Krakowie, zabezpieczony jest pancerzem z boków, z przodu i tyłu, wieże pancerne zaś są z góry odsłonięte. Szóstego listopada podczas puczu bolszewickiego komendant „Dziadka" por. Pieńkowski posuwał się ul. Basztową ku ul. Dunajewskiego, ażeby oczyścić ulice z tłumu mordującego ułanów. Z okien i dachów kamienic sąsiadujących z domem Robotniczym „Dziadek" otrzymał naraz grad kul z góry.

Kulą przeszyty padł st. szeregowiec Kozik i plutonowy Kotfis.

Por. Pieńkowski zalany ich krwią puścił w ruch karabin maszynowy, szeregowiec Łaptucha drugi, kierując ogień w górę, ku strzelającym bandytom. Naraz pękł łańcuch pociągowy u kół, skutkiem czego pancerka staje. Szeregowiec Łaptucha pada, otrzymawszy kulę w plecy i kona. W pancerce zdrowy pozostaje tylko por. Pieńkowski z 3 rannymi.

Naraz otwierają się drzwi pancerki i mordercy przykładając kilkanaście karabinów do piersi oficera, wywlekują go z wieżyczki wraz z trupem ś. p. Łaptuchy i rannymi.

Bandyci obdarli natychmiast trupa Łaptuchy i bez butów przenieśli go do Domu Robotniczego. Skrwawiony płaszcz por. Pieńkowskiego odebrał później żandarm jakiemuś opryszkowi z czerwoną kokardą".

Skwawiony płaszcz porucznika Pieńkowskiego!

Ma iść do Muzeum Narodowego! Do wielkiej oszklonej szafy! Na gradusie o sześciu schodach. Na środku sali, tak, żeby był widoczny ciągle wszystkim!

Nie tuszować krakauery! Nie schwam drüber Herr Oesterreicher.

A „Dziadek" tu do Warszawy, do Sulejówka, na prezent! Postawić w w ogrodzie Cyncynnata...

Pierwszy marszałek, zamianowany nim najmiłościwiej meandrycznie jeszcze w r. 1919 w kwietniu nie cierpiał 8 pułku ułanów księcia Poniatowskiego.

Afronty im wyczyniał od 2 lat. „To ułany endeckie". Na wieczerzę ułanów 3 go Maja w Warszawie nie przyszedł. Odburknął gburowato i po charkowsku. Odtąd w ambitnym pułku istotnie nie był lubiany. „Niesie on zemsty grom".

Tak czy nie?

Czy jest w armji polskiej pułk, któregoby J. Piłsudski tak nienawidził jak 8-ego pułku ułanów Poniatowskiego?

Powiedźcie? Czy się ukrywał J. Piłsudski z antypatją do 8-ego pułku, czy nie?

Czy są świadkowie jego antypatji do 8-ego pułku ułanów, czy niema?

Jeżeli są, to stawia się tu projekt, ażeby samochód pancerny „Dziadek" obmyty z krwi czy nie obmyty, odstawić do Sulejówka.

Jeżeli niema na to świadków, projekt upada i hypoteza zemsty sama przez się upada. (*a. n.*)

BARBUSSE A KRAKAU.

Wiecie kto jest Barbusse, od trzech tygodni aresztowany wysoce utalentowany żyd, powieściopisarz francuski, komunista, defetysta, leader „Clarte", autor „Le feu" i „Clarte" i innych powieści i nowel zatruwających duszę ludu Francji. Wiecie kto jest Barbusse, którego każdy tom rozchodził się po Niemczech w ćwierć miljonie egzemplarzy, adorowany przez wszystkie germanojudejskie Blatty i Pressy globu, najzaciętszy protektor Sowietów w Paryżu.

Kto go pierwszy drukował w Polsce?

„Czas".

Kto go wydawał?

Dr. Markusfeld (księgarnia Hoesicka).

Jak się nazywał tłomacz pierwszych utworów Barbussa?

P. Barbara Beaupré.

Czyją siostrą była tłomaczka Barbussa?

Dr. Antoniego Beauprè, obecnego redaktora „Czasu". W Czasie też drukował się „Ogień", poczem w Krakauerskich „Wiankach" „Szaleństwa miłości" Barbussa i t. p.

W kwietniu r. 1919 wtedy, kiedy we Lwowie orlęta broniły puklerza Rzeczypospolitej, krakowski „Czas" drukował powieść żyda zohydzającą męstwo i bohaterstwo. (*a. n.*).

OSSERVATORE ROSNERO.

Dr. Ignacy Rosner przebywa w Polsce (in partibus infidelium) od lat ośmiu. Jak przeważnie Krakauery przed wojną, za Moskala nigdy się tu nie pokazywał, nie kwapił, nie pofatygował. Okropnie się bali kozaków, niedźwiedzi i żandarmerji na granicy. Warszawa to nie była Europa. Wideń, „Abbacja", Semering to, ci Europa!

Kiedy Warszawę zajęli Prusacy, już na drugi dzień przyjechał pierwszy eilzug z Krakauerami. I odtąd codziennie trzy wagony „rezerviert". Sypało się to i sypało, jak z rogu Amaltei. Jeden z pierwszych hofrath Rosner w żółtem wiedeńskiem paltku z „sakwojażami" i „neceserami" świeżymi wprost z Mariahilfstrasse („Old Gentleman" firma „Pinkus i Peretz"). Wizytki. Nobel und geistreich. Anegdotki o Dieduszyckim i Abrahamowiczu. Anegdotki o Habsburgach. Ten erchercog pedek. To brało. To się podobało po salonach i buduarach. Nadto bridge. Co to jest Polska, uczył go zdawna w Warszawie przy

konsulacie attaszowany baron Andrian de Wehrburg. Ten go kształcił „in Localverhältnissen". I jakieś Węgry i jakiś Michachałowski i ci co go znali z Widnia, a których potem cacanie z „Kurjera Polskiego" wyprosił i wydusił.

I w tych to już pierwszych czasach poznał p. Rosner dwóch kanoników aktywizujących conieco, z którymi odtąd węzły kordjalne nawiązał jako katolickiej Austrji delegat i Apostolskiego Franca reprezentant. Ci zaprezentowali hofratha wyższym dygnitarzom, wyżsi najwyższym, najwyżsi jeszcze wyższym. I to odtąd „rozsądnemu, spokojnemu i trzeźwemu" hofrathowi poszło nieco do głowy i wbiło w nią właściwie całowego ćwieka. Nowochrzczeniec Krakowski stawał się coraz więcej Kakowski i wprost nie mógł odtąd zasnąć spokojnie, nie porozmawiawszy choćby tylko telefonem z jednym prałatem dziennie. W towarzystwie, na zebraniach, na konwentyklach wprost nie można go było odlepić czy odczepić od tej lub owej osoby duchownej. Na widok fioletów blada twarz Rosnerowata nabierała młodzieńczych kolorów. Oczy mu błyszczały upojeniem, gdy do jakiej sali posiedzeń wchodził któryś z kanoników katedralnych. Jak pewnemu gatunkowi naszych współobywateli m. w. sprawia specjalną rozkosz, ażeby w chałacie promenować w Łazienkach i pod pałacykiem Stanisława, tak naszemu nieocenionemu hofrathowi sprawiało wprost „perwerśną", jak mówią in Krakau satysfakcję, żeby na jednej kanapie coram publico rozsiadać się przynajmniej ze sufraganem.

Przypadłość tę psychiczną, czepiającą się szczególnie jegomościów 60 letnich, którzy od 40 lat już należą do Kościoła katolickiego możnaby nazwać wprost terminem medycznym: monsignoritis (acuta w tym wypadku). Próbowali wszyscy leczyć go z tego przymiotu, perswadowali jedni, wyszydzali drudzy. Nic nie pomagało. Ani pastora ani rabina ani muezzina na oczy widzieć nie chciał. Bez telefonu do konsystorza nie mógł atoli zasnąć.

Obecnie stan chorobowy doszedł do takiego stadjum, że dr. I. Rosner, wnuk bł. p. Izydora, prawnuk zacnego Symchy ze Stradomia chce za wszelką cenę organizować wielkie stronnictwo katolickie w Polsce. Ausgerechnet pan Rosner.

No, z jakiego powodu państwo potrzebują wyrazić tu swoje zadziwienie?

Zaszczanek warszawski oczywiście nic nie słyszał o pewnym arcybiskupie ołomunieckim? No skąd takie małomiejskie Warszawisty mogłyby wiedzieć o ołomunieckim kardynale? Otóż ten kardynał to był Kohn, z Kohnów Kohn. W Austrji to było możliwe gdzie cesarz był zaraz pierwszą osobą po Rotszyldzie, a Benedict redaktor „N. Freie Presse" drugą po Benedykcie XV.

No to jak Kohn mógł być arcybiskupem w Ołomuńcu, to chyba Rosner może być w Warszawie leaderem i organizatorem wielkiego katolickiego obozu. A soi! Habdank! Maseltopf.

I w tym celu dał p. Rosner w jednym numerze swego „Koszera Polskiego" na najwidoczniejszem miejscu ogłoszenie:

„Pan Jezus w duszy Dziecka".

Książka księdza Gralewskiego.

Poczem zaraz w następnym numerze głos prymasa Dalbora, wywiad z Monsignorem Laurim, wreszcie swoje breve do Chrześcijan w Polsce o prawdziwem chrześcijaństwie...

I w artykule tym widocznie już nieco ramolujący i zdetutowany Pfifficus pozwala sobie ze starojudejską arogancją sarkastycznie wyrażać się o katolicyzmie Polaków i proponować siebie jako nowego Jana Kantego czy księdza Murri czy Marc-Sangniera...

I bierze się do tego już bez gracji wiedeńskich Anatolów a z nahalstwem zdezorjentowanego starzejącego się parafialnego muchesa. Obiecuje salonom Salomonów i Sassoonów warszawskich, że jego prawica to będzie echt Praw-I-C-A, najlepszej sorty. Wymienia Moszyńskiego i Szujskiego tj. zapoznanych olbrzymów ducha, ale na krakauerski façon. Używa terminów: prze Bóg, na miły Bóg, nie daj Boże! zamiast dawnego swego: Gott erhalte Gott beschütze.

I ma illuzję cierpiący przewlekle na monsignoritis muchesina, że jeszcze wypłynie jako „nowy Klaczko" ze swą paczką redakcyjną dwóch tuzinów sekatorem uszkodzonych w niemowlęctwie Szattensteinów i Lichtensztejnów, Wasserzugów i Waterprofów.

Pan się łudzi panie Rosner!

Warszawa to nie Ołomuniec.

A na argument pański, że pierwsi apostołowie to także byli z mniejszości narodowej i także dopiero się ochrzcili, to my odpowiemy panu: ale to byli rybacy!

A pan jest li rybak?

Jeżeli pan jest rybak, to pan jest rybak, ale od tej mętnej wody! Salem Alejkum Monrosnero! *(a. n.)*

PRAWDA SENATORA POSNERA.

(Z bliska i z daleka, w Krakowie II Henryk Bez Maski. Robotnik nr. 312 z 15 Listopada).

W tych wszystkich instytucjach niema ani iskrzty prawdy. Nie było tam żadnej premedytacji, ani przygotowanej zgóry broni, ani gromadzonych nabojów, nie było nawet browningów, *chyba w kieszeni owego urzędnika Syndykatu rolniczego, który z balkonu czy z okna strzelał w tłum robotników*. Prganizacja krakowska nie znała nigdy konspiracji, ani bojówki socjalistycznej.

(Nowa Reforma nr. 236: Kronika „Szczegóły zgonu śp. inży. Lachowicza).

Szczegóły zgonu ś. p. inżyniera Lachowicza. Wobec nieścisłych wiadomości, jakie się pojawiły w prasie krakowskiej o śmierci ś. p. inżyniera L. Lachowicza, przesyła nam sekretarjat Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego następujący komunikat:

Ś. p. inżynier Lachowicz w pamiętnym dniu 6 listopada przyszedł do biura Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego około godziny 11 zalany krwią, która pochodziła ze zranionego czoła. Jak sam zmarły opowiadał, *pobito go i zraniono w tłumie z powodu jasnych rękawiczek „burżuja", jakie miał na rękach w chwili, gdy został przez tłum ogarnięty*. Po opatrzeniu rany na głowie, udał się inżynier Lachowicz do jednego z frontowych biur na II p. i stanął w odległości 1 — 1½ kroku od zamkniętego okna. Po pewnej chwili słaniając się, wybiegł na korytarz. Koledzy podtrzymali go i przenieśli do jednego z tylnych pokoi i prowizorycznie opatrzyli ranę. Wlot kuli znajdował się na parę cen-

tymetrów ponad pępowiną, wylot o kilka centymetrów poniżej lewej pachy. Ślady kuli jakie pozostały w biurze, wskazują zupełnie dokładnie na kierunek strzału. Kula przebiła mur poniżej dolnej ramy okna, następnie część ramy okiennej i utkwiła w środku sufitu. Strzał zatem musiał być oddany z placu Szczepańskiego w kierunku okna, przy którem stał zmarły".

OSTRZEŻENIE.

Krąży po domach warszawskich ongiś literat, pięknie się zapowiadający, obecnie zbieracz wywiadów sensacyjnych dla przedsiębiorstw Czerwonego Kurjera i Expressa.

We wstępie do wywiadu ze mną napisał coś o „kamienicy stylowej podobnej do trzeciorzędnego palazzo florenckiego" i o „snujących się ulicznicach" na ul. Wielkiej i Zielnej i o „niesamowitej ul. Złotej", o „zgniłych jajach", o pokoju w którym pracuję a który „rży, chrząka, szczeka i pluje" o jakichś próbowkach, „bakcylach którymi można zatruć całą Rzeczypospolitą" i wiele innych obrzydliwości i nieprawd, wzbudzających podejrzenie, że na imaginację pana wywiadowcy „snujące się ulicznice" w życiu zanadto wielki wpływ miały.

Pan ten użył podstępu. Tak ohydnego, że już nawet mnie brak słów na zdefiniowanie. Jako gość był układny, słodki, ujmujący i miły, potakujący, ba nawet serdeczny O Józefie Piłsudskim, którego przedtem wywiadem swoim ośmieszył, wcale lekceważąco, zapewne dla zdobycia zaufania i szczerości, wyrażał się.

Wywiadu, choć solennie obiecywał, do korekty nie przysłał. We „wstępie" od siebie zeszkaradził i splugawił. Nad pracowitością moją w słowach entuzjastycznych się unosił, a w drukowanem słowie z trucicielami, mordercami, „bilardzistami", zbrodniarzami i t. p. mniej więcej na jednym poziomie zestawił, żem „na razie fanatyczny rzecznik prawicowego obozu ale niewątpliwie w zanadrzu kryjący zdradę" napisał.

Dlaczego ten pan to tak zrobił, co go do tego pchnęło, nie umiem sobie zdać sprawy.

Jeszcze supponuję, że ten wstęp do wywiadu dopisała redakcja, chyba wbrew jego intencjom.

Badacz Norwida i wielbiciel St. Brzozowskiego?...

Ale jeżeli on? „Niewątpliwie w zanadrzu kryjący zdradę"?

Nazywa się: Roman Zrębowicz. W każdym więc razie ostrzegam.

Adolf Nowaczyński.

Pren. kwart. **360.000.** Zagranicą kwart. **540.000.**
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **2.000.000 mk.** Konto cz. w P. K. O. № 3105.

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Zgoda 5.